

The background of the cover is a painting in a somber, brownish-orange palette. It depicts a street scene. On the left, a white house with a dark roof and a chimney is visible. To its right is a taller, red brick building with a balcony featuring ornate metal railings. The overall mood is melancholic and atmospheric.

**Henry
Lawson**

**Związek
grzebie
swoich
zmarłych**

Wybór opowiadań

GLOWBOOK
WYDAWNICTWO

ZWIĄZEK GRZEBIE
SWOICH ZMARŁYCH
WYBÓR OPOWIADAŃ

HENRY LAWSON

Tytuł oryginału: Selected Stories by Henry Lawson
Autor w oryginale: Henry Lawson

Tłumaczenie: Kaja Gucio

Copyright © for the Polish translation by Glowbook, 2022

Wydawnictwo Glowbook
ul. Kolegiacka 2/2
98-200 Sieradz
kontakt@glowbook.net

Projekt okładki:
Justyna Kramarz – Studio *grafpa*, www.grafpa.pl

Obraz na okładce:
Marn Gorin / Alamy Stock Photo

Redakcja i korekta:
Małgorzata Korbziel

Skład i łamanie:
Kamil Potęga – Studio *grafpa*, www.grafpa.pl

Druk:
Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.J.
ul. Piwna 1
61-065 Poznań
www.mos.pl

ISBN 978-83-960385-7-9

[Kup książkę](#)

Spis treści

- 7 Twarze na ulicy
- 11 Związek grzebie swoich zmarłych
- 17 Żona poganiacza
- 27 Stary pasterz znajduje trupa
- 35 Smutna historia sprzątaczk
- 47 Fałszywy geolog
- 55 Bohater z Redclay

73 Zaloty Joe Wilsona

103 Szwagierka Brightena

125 Wybuchowy pies

133 Dzieci z buszu

155 Zrzutka

173 Ta ślicznotka z Armii

193 „Lord Douglas”

Twarze na ulicy

I Łżą ci, co powiadają głośno i dobitnie,
Że nie ma tutaj nędzy, a bieda nie zagłada,
Bo tam, gdzie się stykają przedmieście i skraj miasta,
Z okienka izby patrzę na twarze na ulicy –
Mijają mnie, mijają,
W rytm strudzonych kroków.
A mnie żal właścicieli tych twarzy na ulicy.

I smutek mnie ogarnia w młodym, pięknym kraju,
Gdy widzę na tych twarzach troski piętno i nędzy.
Na próżno wypatruję świeżości, piękna i wdzięku
W bladych, zmęczonych twarzach mknących po ulicy –
Przemykają, wciąż przemykają,
Przy dźwięku niespokojnych kroków.
I żal mi właścicieli tych twarzy na ulicy.

Tuż zanim brzask przygasi blask światła gwiazd na niebie,
Już pierwsze blade twarze wychodzą tu i ówdzie
I z każdą chwilą więcej ich z mroku się wyłania,
Aż płyną bladą rzeką, te twarze na ulicy...
Płyną, wciąż napływają,
W rytm prędkich, spieszných kroków.
Ach! Żal mi właścicieli tych twarzy na ulicy.

Ta ludzka rzeka rzędzie, im bliżej ósmej rano –
Jej fale płyną szybciej w obawie przed spóźnieniem.
A potem czas się wlecze w upale, pośród pyłu.
Miasto tak miażdży właścicieli tych twarzy na ulicy...
Miażdży ich ciała, miażdży dusze
W zamian za nędzny ochłap.
Och! Żal mi właścicieli tych twarzy na ulicy.

Potem zaś – aż po wieczór – widać już tylko twarze
Strudzonych robotników i leni, co próżnują.
I tylko tu i ówdzie obca twarz na ulicy
Przypomni o znużonych w tym mieście bezrobotnych –
Krążąc, wciąż wkoło krążąc,
W rytm apatycznych kroków...
Ach! Żal mi właściciela tej twarzy na ulicy.

A kiedy kres nastaje tej długiej poniewierki
I żółte światło lamp szyderczo żegna dzień,
Przepływa obok okna ta sama znowu fala.
Znów widzę błądy potok tych twarzy na ulicy...
Odpływają, teraz odpływają
W rytm przemęczonych kroków.
Serce mi pęka na myśl o twarzach na ulicy.

Tak oto w brudzie i w znoju zamyka się dnia księga,
Kolejna północ mija i świt coraz bliżej.
Z uśmiechem, co drwi z niej samej, żałośnie i błagalnie,
Delila szuka chętnych na ulic miasta rogu...
Upada, raz po raz upada
Zniszczony, ludzki wrak.
Straszny, niewdzięczny jest zawód Kobiety Ulicy.

Gorszy się czai koszmar w tym młodym, pięknym mieście,
Bo w samym jego sercu od brudnych nor się roi –
Ludzkie tam gniją kształty w plugastwie i fetorze,
A twarze tych na żadną nie wpuszczą tu ulicę...
Gniją tam, ciągle gniją –
Bez strawy, bez powietrza,
W norach występku i grozy, z ulicy niewidocznych.

Ciekawym, czy bogaci w apatii swej by trwali,
Gdyby ze swoich okien widzieli biednych twarze?
Lęk was ogarnie, słudzy Mamony, i wielka zdejmie groza,
Gdy Bóg kiedyś zapyta o nędzę na ulicy!
O rzeczy złe i podłe,
I smutne, o jakie łatwo
W brudnym zaułku miasta i na ulicy bezdusznej!

Z tamtej nory ponurej, gdzie nie millkną kroki,
Przeniosłem się do okna z widokiem na wzgórze,
Ale gdy noc nadeszła, pełna deszczu i śniegu,
Nawiedziły mnie cienie tych twarzy na ulicy –
Przemykały obok, przemykały,
Przemykały obok bezszelestnie,
Trochę bledsze niż prawdziwe twarze na ulicy.

Zawołałem raz: „Boże, jeśliś wciąż wszechpotężny,
To ześlij mi wizję, jak naprawić krzywdy!”.
I zobaczyłem ulicę i zamknięte sklepy,
A z oddali mnie dobiegł odgłos wielu kroków –
Zbliżały się, wciąż zbliżały,
W rytmie głuchego bicia bębna z oddali,
I ujrzałem tam armię w marszu po ulicy.

I jak wezbrana rzeka, co brzegi przerwała i mury,
Ludzka powódź napłynęła pod czerwonym sztandarem.
Oczy wszystkich płonęły żarem rewolucji,
A ostrza mieczy odbijały twarze na ulicy.
Napływali, wciąż napływali
W rytmie bębna, co bił donośnie i groźnie
Wśród pieśni i wiwatów ludzi na ulicy.

I tak już będzie zawsze, póki świat się kręci.
Próżno pióro się trudzi, od ostrzeżeń głos chrypie,
Ale póki nie zabrzmi rytm Czerwonej Rewolucji,
Ludzie miasta nie uwolnią się od grozy ulicy,
Od znoju wiecznego i odwiecznej walki
O mięsa byle ochłap i nędzną koszulę
W tym gąszczu żywej śmierci – okrutnej ulicy.

Związek grzebie swoich zmarłych

Pewnego niedzielnego popołudnia pływaliśmy łódką po billabongu¹, kiedy po drugiej stronie rzeki zauważyliśmy młodego człowieka. Jechał wierzchem, prowadząc kilka innych koni wzdłuż brzegu. Powiedział do nas, że piękny mamy dzień, i zapytał, czy woda głęboka. Żartowniś z naszej grupy odparł, że owszem, w sam raz, żeby się utopić, a on się roześmiał i pojechał dalej. Szybko o nim zapomnieliśmy.

Następnego dnia jacyś żałobnicy zebrali się w pubie na rogu i uznali, że w oczekiwaniu na karawan dobrze będzie się napić. Część czasu spędzili na skocznych tańcach przy akompaniamencie pianina w barze, resztę zaś na wygłupach i bijatyce.

Grzebanym nieboszczykiem był młody robotnik ze związku, mniej więcej dwudziestopięcioletni, który utonął poprzedniego dnia podczas próby pokonania wpław billabonga Darling wraz z paroma końmi.

Nikt go tu w mieście w zasadzie nie znał, a cały pogrzeb wziął się z tego, że był związkowcem. Policjanci znaleźli w jego torbie jakieś papiery i skontaktowali się z biurem Powszechnego Związku Robotników, żeby uzyskać informacje na jego temat. Stąd się o nim dowiedzieliśmy. Sekretarz niewiele wniósł nowego. Zmarły był wprawdzie papistą, a większość mieszkańców miasta wręcz przeciwnie, ale więzy związkowe są silniejsze niż wyznanie. Jeszcze silniejszy jest jednak alkohol, więc kiedy karawan wreszcie zajechał na miejsce, więcej niż dwie trzecie żałobników nie było już w stanie za nim podążyć.

¹ Billabong – australijskie określenie starorzecza, które okresowo, po wielkich ulewach, napętnia się wodą [przyp. red.].

Kondukt składał się z piętnastu uczestników – czternastu dusz podążających za pękniętą skorupą piętnastej. Możliwe, że w żadnym z tej czternastki nie ostało się ani trochę więcej duszy aniżeli w trupie – ale to akurat bez znaczenia.

Czterech czy pięciu żałobników wynajmujących pokoje nad pubem pożyczyło od właściciela przybytku dwukółkę, której używał do wożenia pasażerów na stację kolejową i z powrotem. Byli oni obcy dla nas, którzyśmy szli pieszo, a my dla nich. Zaś wszyscyśmy byli obcy dla nieboszczyka.

Jakiś jeździec, z wyglądu poganiacz wracający z dalekiej wyprawy, dołączył do naszego zakurzonego konduktu i jechał za nami kilkaset metrów, ciągnąc za sobą jucznego konia, ale gdy jego znajomek zaczął mu dawać gwałtowne i ostentacyjne sygnały z hotelowej werandy – to jest machał zgiętą prawą ręką, a kciukiem lewej wskazywał bar za plecami – ulotnił się szybko i tyleśmy go widzieli. On też był obcy dla wszystkich uczestników spektaklu.

Szliśmy dwójkami. Było ich trzy. Panował skwar, a nad ziemię wzbijały się tumany kurzu. Żar lał się z nieba ostrymi, oślepiającymi kaskadami światła na zwrócone do słońca żelazne dachy i jasne ściany domostw. Dwa puby zawiesiły działalność na czas, kiedy je mijaliśmy. Zamknięto drzwi baru, a przez kilka minut klienci wchodzili i wychodzili bocznym albo tylnym wejściem. Ludzie z buszu rzadko sarkają na tego rodzaju niedogodności, jeśli ich przyczyną jest pogrzeb. Mają na to zbyt duży respekt dla zmarłych.

Po drodze na cmentarz minęliśmy trzech strzygaczy siedzących w cieniu za płotem. Jeden z nich był pijany, a w zasadzie zalany w trupa. Dwaj pozostali przykryli kapeluszami prawe uszy z szacunku dla zmarłego – kimkolwiek był – a jeden kopnął zalanego kompana i coś do niego burknął.

Ten wyprostował się i powiódł nietrzeźwym wzrokiem dookoła, po czym sięgnął po kapelusz, ściągnął go do połowy, a potem na powrót założył. W końcu, z wielkim wysiłkiem, zebrał się w sobie – tym razem skutecznie. Wstał, oparł się plecami o płot, stracił nakrycie z głowy i wyraźnie skruszony postawił na nim stopę, żeby go bezwiednie nie nałożyć, dopóki kondukt pogrzebowy nie minie jego i jego ziomków.

Wysoki, sentymentalny poganiacz, który siedł obok mnie, z przekąsem cytował fragmenty Byrona, pasujące do okoliczności – to jest śmierci – i pytał z wisielczym humorem, czy naszym zdaniem „tam, po drugiej stronie” uznają bilet zmarłego. Był to bilet związkowy i przeważała opinia, że owszem, uznają.

W tym momencie odezwał się mój kolega:

– Pamiętasz, jak wczoraj, kiedy byliśmy w łodzi, jakiś facet prowadził konie wzdłuż brzegu?

– Pamiętam.

Skinął na karawan.

– No, to właśnie był on – powiedział.

Zastanowiłem się chwilę.

– Nie zwróciłem na niego szczególnej uwagi – odparłem. – On coś chyba do nas zagadał, nie?

– Tak, powiedział, że to piękny dzień. Zauważyłbyś, gdybyś wiedział, że została mu godzina życia i że to ostatnie słowa, jakie wypowie do kogokolwiek na tym świecie?

– Na pewno – wtrącił się jakiś głos z tyłu – gdybyś o tym wiedział, to byś pogadał z nim dłużej.

Przecieliśmy tory kolejowe, idąc dalej rozgrzaną, pełną pyłu drogą, która prowadziła na cmentarz. Niektórzy rozmawiali o wypadku, inni opowiadali o własnych przygodach, kiedy to cudem udało im się uniknąć śmierci.

– Oto i diabeł – powiedział ktoś w końcu.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem księdza kryjącego się pod rozłożystym drzewem przy bramie cmentarza.

Karawan zajechał i otwarto tylne klapy. Żałobnicy przycisnęli kapelusze do prawego ucha, a czterech mężczyzn wyniosło trumnę i postawiło ją przy grobie. Podszedł ksiądz – młody wikary, blady i spokojny – po czym stanął w cieniu drzewka rosnącego u wezglowia mogiły. Następnie zdjął kapelusz, upuścił go niedbale na ziemię i przystąpił do rzeczy. Zauważyłem, że jeden czy dwóch pogan wśród żałobników skrzywiło się lekko, gdy trumna została pokropiona wodą święconą. Krople szybko wyparowały, pozostawiając na kirze okrągłe, czarne plamki, które zaraz pokryły się pyłem. Dzięki temu, a może i przez to, ujawniły, jak tani

i marny był materiał, którym przykryto trumnę. Wcześniej wydawał się czarny, teraz – ciemnoszary.

To właśnie wtedy ludzka ignorancja i próżność zrobiły z pogrzebu farsę. Wielki, barczysty oberżysta o grubych rysach, niezdrowej cerze i niebywale głupim wyrazie twarzy podniósł z ziemi słomkowy kapelusz księdza i trzymał go kilka centymetrów nad głową wielebnego aż do końca ceremonii. Ksiądz, przypomnę, stał w cieniu. Kilku żałobników niepewnie to zakładało, to zdejmowało własne kapelusze, miotając się między obrzydzeniem do żywych a szacunkiem dla zmarłych. Kapelusz kapłana miał stożkową koronę i rondo opadające jak parasol przeciwsłoneczny, a mięsisty, czerwony paluch oberżysty spoczywał dokładnie na jego wierzchu. Trzeba oddać sprawiedliwość księdzu, bo mógł tego incydentu zwyczajnie nie zauważyć. Kapelan czy pleban powiedziałby w takiej sytuacji: „Odłóż ten kapelusz, przyjacielu. Czyż pamięć o naszym zmarłym bracie nie jest więcej warta niż moja cera?”. Kaznodzieja z buszu ująłby to na pewno dosadniej, acz nie mniej trafnie. Mój wikary jednak pozostawał najwyraźniej nieświadomy tego, co się dzieje. Oberżysta był ponadto ważną osobą i filarem kościelnej społeczności. Jako z natury głupi i zarozumiały osioł nie mógł zatem przepuścić takiej okazji i postanowił zademonstrować swoje oddanie wobec kościoła, a zarazem potwierdzić swoją w nim pozycję.

Grób był bardzo wąski, więc odetchnąłem z ulgą, kiedy trumna zmieściła się w nim bez problemu. Kiedyś, w Rookwood, widziałem, jak drewniana skrzynka ze zmarłym utknęła – trzeba ją było potem wyszarpanąć z niemałym wysiłkiem i złożyć na torfowisku, u stóp pograżonych w żałobie krewnych, którzy lamentowali żałośnie, podczas gdy grabarze poszerzali dół. Ale na Zachodzie nie zostawia się takich rzeczy przypadkowi. A nasz grabarz nie był zupełnie pozbawiony serca i z szacunku dla owej ludzkiej właściwości, określanej mianem uczuć, znalazł nawet odrobinę suchej ziemi i sypnął nią na trumnę, żeby zamortyzować późniejsze uderzenia bryłek gliny o wieko. Usiłował też z początku delikatnie zgarniać glebę łopatą ustawioną grzbietem do góry, ale wyschnięte, twarde grudy z koryta Darling i tak się odbijały od desek z głośnym stuknięciem. Nie miało to większego znaczenia. Nic nie ma. Odgłos grudek ziemi rozbijających się o trumnę obcego człowieka nie brzmi inaczej, niż gdyby spadały na zwykłą drewnianą skrzynię – a przynajmniej ja nie

zauważyłem w tym dźwięku niczego niesamowitego ani niezwykłego, niemniej, kto wie, może w którymś z nas – kimś o większej wrażliwości – wzbudziło to wspomnienia o innym pogrzebie sprzed lat i tego, jak uderzenie każdej bryłki wstrząsało sercem.

Pominałem krzewy akacji – bo ich tam nie było. Nie wspomniałem również o starym, zrozpaczonym przyjacielu, który nisko zwiesił siwą głowę, a po pobrużdżonych policzkach spływały mu wielkie, perłowe krople potu. Był nieobecny, najpewniej został „w dziczy”. Z podobnych powodów w mojej relacji próżno też szukać wzmianki o podejrzaney wilgoci w oczach brodatego draba z buszu o imieniu Bill. Bill się nie pojawił, a jedyną wilgocią była ta, którą wywołał upał. Darowałem sobie także opisy „smutnego zachodu słońca nad australijskim horyzontem”, ponieważ słońce bynajmniej wówczas nie zachodziło. Pochówek odbywał się w samo południe.

Zmarły buszmen najwyraźniej nazywał się Jim. W jego walizce nie znaleziono żadnych portretów, kosmyków włosów czy listów miłosnych, ani niczego w tym rodzaju – nie było nawet żadnej wzmianki o matce, jedynie kilka papierów dotyczących spraw Związku. Większość z nas poznała jego imię i nazwisko dopiero, kiedy zobaczyliśmy je wypisane na trumnie. Wcześniej mówiliśmy o nim „ten biedak, co wczoraj utonął”.

– A więc nazywał się James Tyson – stwierdził mój znajomy poganiacz, patrząc na tabliczkę.

– A co? Nie wiedziałeś? – zapytałem.

– Nie, ale wiedziałem, że to związkowiec.

Później okazało się, że wcale nie nazywał się J.T., tylko tak się przedstawiał.

Tak czy owak, pod tym mianem został pochowany, a większość australijskich dzienników ograniczyła się do lakonicznej notki, że ostatniej niedzieli pewien młody człowiek, niejaki James John Tyson, utonął w billabongu przy Darling.

Później poznaliśmy jego prawdziwe nazwisko, ale nawet jeśli kiedyś się natkniemy na nie w gazetowej rubryce „Ktokolwiek widział”, nie będziemy w stanie udzielić żadnych informacji zmarłej matce, siostrze, żonie ani nikomu, kto mógłby powiedzieć o nim jakieś dobre słowo, bo nikt już nie pamięta, jak się nazywał.

Żona poganiacza

Dwuizbowa chata wzniesiona jest z drewnianych okrągłaków, deszczułek i kory, a podłogi wyłożone są kawałkami drewna. Przylega do niej obszerna kuchnia o ścianach uplecionych z kory, większa niż sama chata z werandą włącznie.

Dookoła wszędzie busz – busz bezkresny, bo teren jest płaski. Żadnych górskich szczytów w oddali. Busz składa się z uschniętych, spróchniałych jabłoni. Żadnego podszycia. Nie ma nic, co przyniosłoby ulgę oczom, nie licząc kilku ciemnozielonych rzewni, które wzdychają nad wąskim, prawie bezwodnym potokiem. Do najbliższego znaku cywilizacji – meliny przy głównej drodze – jest stąd trzydzieści kilometrów.

Gospodarz, były skwater², zabrał owce na wypas. Jego żona została sama z dziećmi.

Czwórka obdartych, wychudzonych dzieciaków bawi się na podwórku. Nagle jedno zaczyna wołać:

– Wąż! Matka, wąż!

Chuda, ogorzała buszmenka wybiega z kuchni, podnosi malucha z ziemi, sadza go sobie na lewym biodrze i sięga po kij.

– Gdzie?

– Tu! Pod drewno poszedł! – drze się najstarszy chłopiec, jedenastoletni urwis o lisiej buzi. – Czekaj, matka! Ja go załatwię. Odsuń się! Ja zatłukę dziada.

² Skwater – w Australii: hodowca owiec dzierzawiący pastwiska od państwa lub osadnik na nowo kolonizowanych ziemiach [przyj. red.].

– Tommy, chodź tu, jeszcze cię ukąsi. Chodź tu w tej chwili, mówię do ciebie, ty niecnoto!

Młody podchodzi do niej niechętnie, niosąc kij większy niż on sam.

– Tam lezie, pod dom! – krzyczy triumfalnie i już biegnie z uniesioną pałką za wężem.

Tymczasem wielki, czarny, żółtooki pies, mieszaniec wszystkich możliwych ras, jest żywo zainteresowany rozwojem wypadków. Zrywa się z łańcucha i też pędzi w stronę domu. Spóźnia się jednak i sięga nosem szczeliny w desce w chwili, gdy znika w niej koniec gadziego ogona. Niemal w tym samym momencie dzierzony chłopięcą ręką kij spada i obdziera wspomniany nos ze skóry. Pies, zwany Aligatorem, nie zwraca na to najmniejszej uwagi i przystępuje do podkopywania chaty, ale po krótkiej walce zostaje obezwładniony i na powrót uwiązany. Rodzina nie może sobie pozwolić na jego stratę.

Żona poganiacza każe dzieciom stanąć przy psiej budzie, a sama wypatruje węża. Przynosi dwie małe miski z mlekiem i stawia je pod ścianą, żeby go wywabić, ale mija godzina, a węża jak nie było, tak nie ma.

Zmierzcha się i nadciąga burza z piorunami. Dzieciom trzeba znaleźć schronienie. Kobieta nie może zaprowadzić ich do domu, bo wie, że wąż tam jest i może w każdej chwili wypełznąć przez szczelinę w podłodze, więc niesie kilka naręczy drewna na opał do kuchni, a potem zabiera tam dzieci.

W kuchni nie ma podłogi – zastępuje ją klepisko, zwane w tej części buszu „parterem”. Na środku stoi duży, grubo ciosany stół. Kobieta każe dzieciom usiąść na blacie. Są to dwaj chłopcy i dwie dziewczynki, ledwo odrosłe od ziemi. Daje im kolację, a potem, przed zapadnięciem zmroku, idzie do chaty, bierze poduszki i pościel, cały czas mając w pamięci, że lada chwila może spotkać węża. Przygotowuje dzieciom posłanie na kuchennym stole, a sama siada obok, by czuwać przez całą noc.

Ciągle zerka na chatę, a na szafce trzyma w pogotowiu kijek. Ma tam też koszyk z robótkami i egzemplarz *Dziennika dla młodych dam*. Wpuszcza do izby psa.

Tommy kładzie się, acz niechętnie. Mówi, że nie zaśnie i rozwali tego „chorernego” węża.

Matka pyta go, ile razy mu mówiła, żeby nie przeklinał.

Chłopiec trzyma kij pod kołdrą, a Jacky protestuje.

– Mamusiu! Tommy mnie dźga tom pałkom! Powiedz mu, żeby jom wywalił.

– Zamknij się, ty mały... Chcesz, żeby cię wąż ugryznął? – warczy Tommy.

Jacky posłusznie się zamyka.

– Jak cię ugryźnie – kontynuuje Tommy po chwili milczenia – to cały spuchniesz i zaśmiardniesz, i zrobisz się czerwony i zielony, i niebieski. Prawda, matka?

– Nie strasz dzieciaka. Idź spać.

Młodsza dwójka zasypia, a Jacky od czasu do czasu narzeka, że mu ciasno. Robią dla niego więcej miejsca.

– Matka! Posłuchaj tych małych oposów. Najchętniej to bym im skręcił te chorerne karki – odzywa się w końcu Tommy.

– Ale te małe chorerniki nikomu nie szkodzą! – protestuje sennie Jacky.

– No i masz! Mówiłam, że Jacky nauczy się od ciebie przeklinać. – Ale deklaracja syna wywołuje uśmiech na jej twarzy. Jacky zasypia.

– Matka! Myślisz, że oni wygną kangury? – pyta Tommy.

– Dobry Boże! A skąd ja mam wiedzieć, dziecko? Śpij już.

– Obudzisz mnie, jak wąż wyjdzie?

– Tak. Śpij.

Dochodzi północ. Dzieci śpią, a żona poganiacza siedzi nieruchomo, na zmianę szyjąc i czytając. Od czasu do czasu zerka w stronę sąsiedniej izby, a gdy tylko słyszy jakiś dźwięk dobiegający z tamtej strony, sięga po kij. Burza już jest, a wiatr hulający w dziurawych ścianach prawie gasi świeczkę. Kobieta przesuwą ją głębiej i osłania gazetą. Przy każdej błyskawicy szczeliny między deszczułkami błyszczą jak wypolerowane srebro. Rozlega się grzmot i spada rześista ulewa.

Aligator leży rozciągnięty na klepisku, ze wzrokiem wlepionym w przepierzenie. Kobieta poznaje po tym, że wąż tam jest, a w podłodze części mieszkalnej są przecież duże szpary. Nie boi się byle czego, ale ostatnie wydarzenia zszargały jej nerwy. Mały synek jej szwagra został niedawno ukąszony przez węża i zmarł. Poza tym od pół roku nie ma wieści od męża i bardzo się o niego niepokoi.

Kiedy się pobrali, on był poganiaczem i skwaterem. Zrujnowała go susza w osiemnastym roku, musiał więc poświęcić resztki swojego stada i wrócić do poganiania. Po powrocie zamierza przenieść rodzinę do najbliższego miasta, a tymczasem jego brat, który mieszka w chałupie przy głównej drodze, dostarcza jego rodzinie mniej więcej raz w miesiącu zapasy. Kobiecie zostało jeszcze kilka krów, jeden koń i kilka owiec. Szwagier od czasu do czasu zabija jedną i zostawia tyle, ile w danym momencie potrzeba jej i dzieciom, a resztę sam bierze w zamian za to, co przywozi.

Jest przyzwyczajona do radzenia sobie w pojedynkę. Kiedyś żyła tak przez półtora roku. Będąc małą dziewczynką, snuła rozmaite marzenia, ale wszystkie jej dziewczęce nadzieje i aspiracje już dawno umarły. Teraz potrzebnej podniety i rozrywki dostarcza jej lektura *Dziennika dla młodych dam*, ponadto – niech jej Bóg dopomoże! – kobieta czerpie przyjemność z oglądania modnych strojów na rycinach.

Jej małżonek to Australijczyk, tak samo, jak i ona. Jest lekkomyślny, ale mąż z niego nie najgorszy. Gdyby go było stać, zabrałby ją do miasta i traktował jak księżniczkę. Przywykli do rozłąki, a przynajmniej ona. „Nie ma sensu się martwić” – mawia. On może czasem zapomnieć, że jest żonaty, ale jeśli wróci z dobrą wypłatą, to większość jej odda. Kilka razy, kiedy miał pieniądze, zabrał ją do miasta – wynajął wtedy przedział sypialny w pociągu i pokoje w najlepszych hotelach. Kupił jej też wózek dziecięcy, ale musieli go poświęcić razem z resztą dobytku.

Dwoje ostatnich dzieci urodziło się już w buszu. Podczas jednego z porodów mąż siłą sprowadzał do niej pijanego lekarza. Była wtedy sama i bardzo osłabiona. Trawiła ją gorączka. Modliła się do Boga, żeby zesłał jej pomoc. Bóg zesłał Czarną Mary – „najbielszą” dzikuskę w całej okolicy. A w zasadzie najpierw zesłał Króla Jimmy’ego, a potem Czarną Mary. Jimmy zajrzał przez drzwi, w mig zorientował się w sytuacji i powiedział z wesołym uśmiechem na czarnej twarzy: „Spokojnie, psze pani, zara sprowadzę mojom starom, ona jest niedaleko, nad potokiem”.

Jedno z dzieci zmarło, gdy była tu sama. Trzydzieści kilometrów jechała po pomoc, ściskając martwe ciało.

Dochodzi już pewnie pierwsza albo nawet druga. Ogień przygasa. Aligator dalej leży z głową opartą na łapach i patrzy na ścianę. Nie jest